Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara.

Wojciech Kilar, fot. Andrzej Grygiel, PAP.

Barbara Gruszka-Zych

Fragment książki „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara” Wyd. Niecałe 2015.

Czy ty nigdy nie tęskniłeś za miłością? – pyta Wiktora, bohatera „Panien z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza, jego doświadczony przez życie wujek.

Wojciech Kilar nie musiał tęsknić za miłością. On ją miał. Kiedy przez sześć kolejnych Wigilii po śmierci ukochanej żony Barbary dzwoniłam do niego z życzeniami, odbierał telefon, witając mnie wcale nie smutnym głosem. Na koniec pytałam: – Jest pan w domu sam? Ale nauczona jego wcześniejszymi odpowiedziami, natychmiast się poprawiałam: „To znaczy, z żoną” . – Tak, z żoną – słyszałam, jak uśmiechał się do słuchawki i już wiedziałam, że był gdzieś na swoim Mont Blanc, skąd lepiej widać tych, którzy już odeszli. W minionym roku wjechałam kolejką pierwszy raz w życiu na Aiguille du Midi, szczyt położony tuż pod Mont Blanc, i stąd się wzięło to porównanie. Tam, na wysokościach, słychać było, jak młyny czasu skrupulatnie mielą każdą sekundę, strząsając okruchy w dół. Octavio Paz w książce *Podwójny płomień. Miłość i erotyzm* napisał: „Każda miłość jest nieszczęśliwa, bo jej tworzywem jest czas, który upływa”. Ale też

dopowiedział krzepiąco: „Miłość jest intensywnością i dlatego rozciąga czas: wydłuża minuty w stulecia”.

Miłość Wojciecha Kilara do ukochanej Basi trwała już w tym rozciągniętym w nieskończoność czasie wiecznym, zawieszonym ponad szczytami doczesnych miłości.

– Od czasu jej śmierci najchętniej siedzę w domu – powiedział mi. – Idę spać o trzeciej, czwartej rano, wstaję dopiero o jedenastej. Chyba że muszę załatwić coś ważnego. Tu wszystko jest takie jak za jej życia, tu jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Kiedy mam problemy z rozwiązaniem w jakiejś powstającej kompozycji, a żona mi się przyśni, rano odnajduję właściwy trop. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłymi. Wiem, że pracy twórczej oczekuje ode mnie również teraz, często z nią rozmawiam, odwiedzam jej grób – zwyczajnie wierzę w świętych obcowanie.

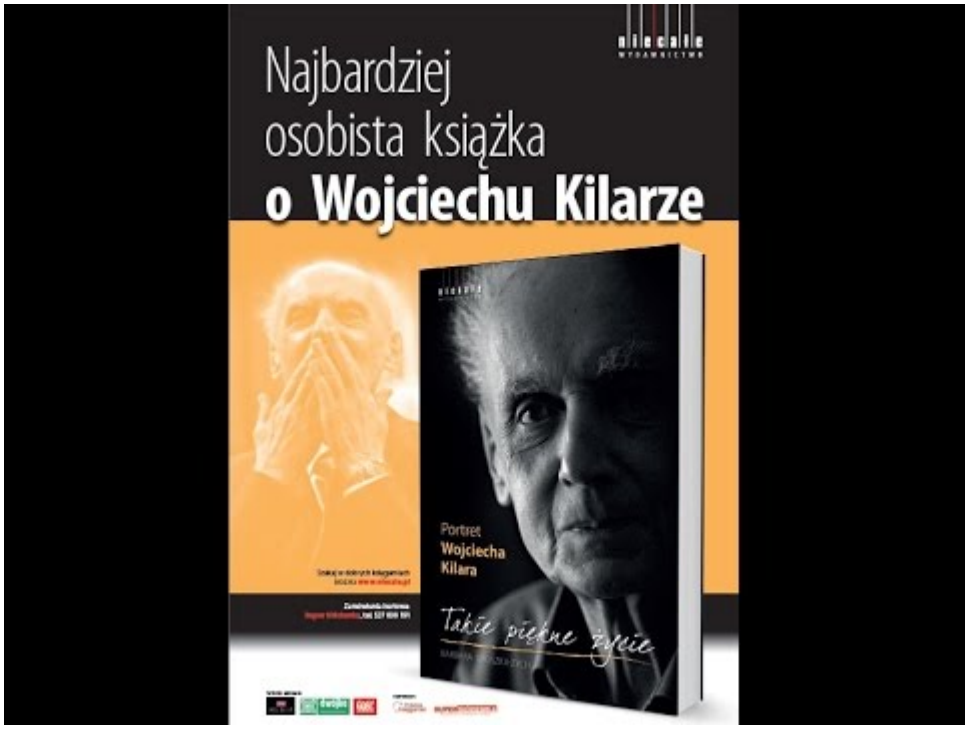

Wojtek żył dzięki Basi.

Kiedy Kilar za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. Za najcenniejszy przedmiot w domu Wojciech Kilar uważał stare sito. Wygięte, z popękanego plastiku. Traktował je jak relikwię, bo pamiętało dotknięcie rąk ukochanej Basi. Ich miłość przetrwała burzliwe okresy w życiu kompozytora, jego pijaństwo, wyjazdy do Ameryki. I ciężką chorobę żony, gdy z pięknej kobiety zmieniała się w staruszkę.

Nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy pani Basia poruszała się na wózku, rzucało się w oczy niesamowite oddanie małżonków. Starali się bez powodu nie oddalać od siebie ani na chwilę. Wydaje się, że pan Wojciech mógłby wtedy powtórzyć za starym Miguelem de Unamuno przejmujące słowa o ukochanej: „Nie

czuję już nic, gdy dotykam nóg mojej żony, ale kiedy ją te nogi bolą, bolą mnie też moje”. *

– Widzę, jacy nieszczęśliwi są ludzie pozbawieni miłości – powiedział mi kiedyś. – Nawet nie wiedzą, co tracą. Miłość to największy dar, a gdy się kocha, to też się cierpi. Miłość do mojej żony to największa łaska, jaką dostałem od Boga.

Razem z tą łaską przyjmował na siebie ciężar jej bólów, chorób, cierpienia, które niesione przez ich dwoje, wydawało się odrobinę mniejsze. Ona jak mogła pomagała mu funkcjonować społecznie. Pod koniec życia neuropatia nie pozwalała jej nawet podnieść słuchawki telefonu. Ale wcześniej przez lata ciepłym głosem witała w imieniu męża dzwoniących i zwykle znajdowała czas na krótką rozmowę. Na przykład któregoś dnia wyjaśniła mi, że pana Wojciecha dopadły związane ze zmianą pogody zawroty głowy i odpoczywa w łóżku, ale radziła, żebym zatelefonowała nazajutrz.

Wojciech Kilar z żoną Basią (po prawej) i autorką Barbarą Gruszką-Zych, fot. arch. BGZ.

Lubili trzymać się za ręce

– Oni nie mogli bez siebie żyć – mówi doktor Jacek Bera. – Wojtek starał się robić wszystko, co było najlepsze dla Basi. Kiedyś przyszliśmy do niej na urodziny. Na stole leżał talerz z pokrojonym w kostkę chlebem ułożonym przez Wojtka w kształt serca. Jej już było trudno gryźć i w ten sposób chciał ułatwić jej

posiłek. Ich życie składało się z takich drobnych gestów czułości.

Pod koniec naszego pierwszego spotkania w ich domu poprosiłam o wspólne zdjęcie z kompozytorem. Zgodził się na jedno, na którym stoimy obok siebie, ale do kolejnego zaprosił żonę. Nie chciał być na nim sam, przywołał ją z drugiego pokoju, ubraną w błękitną sukienkę. Kiedy oglądam tę fotografię, wydaje mi się, że wyraża jego stosunek do ukochanej. Pan Wojciech stoi w pewnej odległości ode mnie, za to lekko przytulony do żony i delikatnie trzyma jej dłoń, jakby wyszli na pierwszy wspólny spacer. Widać, że wie, jakie cenne jest świętowanie miłości każdym gestem. To, że lubili trzymać się za ręce, można dostrzec też na innych fotografiach. Ani przez moment nie chcieli zapominać, że ich uczucie stale musi być młode. To ona, trzymając go za rękę, wiodła go przez zakręty życia, wyprowadzając na prostą.

Pan Wojciech, opowiadając mi o filmach, które go poraziły wyłącznie obrazem, wymienił na pierwszym miejscu „Lawrence'a z Arabii" Davida Leana: – Jest tam niesamowity fragment, kiedy kamera na długo zatrzymuje się na widoku pustyni, a dopiero potem, gdzieś na horyzoncie, pojawia się mały punkcik, postać, która zbliża się, rośnie.

Kiedy stwierdziłam, że ta osoba, która z każdym dniem staje się bliższa może być metaforą jego żony, potwierdził: – Doceniałem

ją za życia, ale jeszcze bardziej z dzisiejszej perspektywy.

Nasza miłość była jak skała

Poznali się w 1954 w Katowicach. Basia, urodzona w Warszawie, mieszkała w stolicy Górnego Śląska z mamą, dziadkami i jedną z sióstr. Ojca straciła w Oświęcimiu, kiedy jeszcze była małą dziewczynką.

– Gdy się spotkaliśmy, miałem 22 lata, byłem już na roku dyplomowym Akademii Muzycznej, a ona miała 18 lat i była w klasie maturalnej – opowiadał. – To był natychmiastowy piorun, który trafił Michaela Corleone w „Ojcu chrzestnym" Coppoli. Mignęła mi gdzieś na schodach dzisiejszej Akademii Muzycznej w Katowicach [wtedy na parterze budynku mieściło się Liceum Muzyczne, a na piętrze – Akademia – przyp. autorki]. Przydarzyło mi się to nie jak jemu, wśród spalonych upałem sycylijskich pól, tylko na zakręcie szkolnych schodów. Tak sobie czasem myślę, że te kilka sekund lub minut nadało bieg mojemu życiu, które mogłoby potoczyć się w zupełnie innym kierunku, gdybym poznał osobę o innych poglądach na świat. Gdybym wtedy tam nie przechodził, może Basia nigdy by mi nie wpadła w oko. Już w pierwszej chwili poczułem, że jesteśmy stworzeni dla siebie, jak się to banalnie mówi.

Potem – ale to są sprawy bardzo osobiste – jeszcze przez jakiś

czas nie byliśmy razem. Zdarzały nam się chwile trudne przed naszym późnym ślubem, bo byłem już wtedy w wieku Chrystusowym. Nasz związek, perspektywa, że będziemy razem, nie była pewna. Sporo się wtedy wycierpiałem. Ale jestem Bogu za te ciężkie momenty wdzięczny, bo dzięki nim potem układało nam się tylko lepiej. Może przez te doświadczenia w następnych latach nasza miłość była jak skała. W młodości miałem okres zabawowy – w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być, bo dzięki temu poznałem dwie różne odsłony życia. Za nic nigdy nie złorzeczyłem Bogu, tylko starałem się zrozumieć Jego logikę.

Znali się dwanaście lat, zanim w kwietniu 1966 wzięli ślub w katedrze pw. Chrystusa Króla w Katowicach. Z tego dnia, oprócz radości, że przed Bogiem przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, zostało mu wspomnienie ostatniego spotkania z ważnym dla nich obojga dziadkiem żony, Andrzejem Bajdą, który był też dziadkiem aktora Bogumiła Kobieli i ważną postacią powojennych Katowic. W rodzinie nazywano go „dziadeczkiem”, a jego portret wisi na ścianie domu w Tenczynku. – Miał wówczas 92 lata – wspominał – i leżał chory w szpitalu. Zaraz po ceremonii ślubnej pojechaliśmy go odwiedzić. Pamiętam, że uścisnął mnie szczególnie mocno, moją Basię również, ale mnie jakoś tak w pierwszej kolejności. Bardzo się cieszył z naszego ślubu. Wygląda na to, że na nas czekał, bo gdy wróciliśmy do gości, dotarła do nas wiadomość, że kilka minut później zmarł.

Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Bez przerwy do niej telefonował

W wywiadzie do gazety parafialnej „U Jezusa i Maryi”, który przeprowadziła z nim Krystyna Kajdan, jego współparafianka, dyrektorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”, opowiadał: – Byliśmy dojrzali, by podjąć wspólne życie, które przez ponad czterdzieści lat było bardzo szczęśliwe, bez najmniejszych konfliktów; można powiedzieć, że było pełne cudownych dni, przeżytych w ogromnej jedności. Moją żonę cechowała wzruszająca ufność i całkowity brak podejrzliwości.

Tworzyli tak zgraną parę, że nikogo z bliskich nie zdziwiło, kiedy trzynaście lat przed śmiercią pana Wojciecha obydwoje małżonkowie stracili słuch w tym samym, lewym uchu. Obserwując ich, każdy był pewien, że rozumieją się bez słów.

Kiedy jeszcze była zdrowa, jeździli zwykle razem, ale w dłuższe podróże, do Ameryki czy Australii, wybierał się sam. Wtedy nie można się było dodzwonić do jego żony, ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, bo bez przerwy do niej telefonował, informując o każdym kroku. W tamtych czasach koszty rozmów z zagranicy były duże. Musieli sobie opowiadać, co im się wydarzyło i pewnie radzić się siebie. Choć on chlubił się tym, że Basia go nie pouczała, nie ustawiała życiowo. – Nie strofowała mnie, nie prawiła morałów, ani razu mnie nie napomniała – opisywał żonę. – Nigdy na nic nie zwracała mi uwagi, nie mówiła „nie rób tego, czy tamtego”, tylko dawała własny przykład. A to jest najskuteczniejsze. To był jeden z najbardziej wyrazistych przykładów – świadectwo jej życia. Widziałem, jak żyje, i nie mogłem wobec tego pozostać obojętny. Kiedy za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. – Gdy widziała, że wolę zaglądać do kościoła, kiedy nie było tam ludzi, bo wtedy lepiej udawało mi się skupić, jeszcze gorliwiej chodziła na Msze św. i modliła się w mojej intencji – mówił mi. – Tak jak wszystkie najcenniejsze łaski Boże przychodzą do nas przez kobiety, tak i te przyszły do mnie przez moją Basię.

– Swoją codzienną postawą i przykładem takiej wprost promieniującej świętości – nie boję się użyć tego słowa – nawracała wszystkich wokół, ale przede wszystkim mnie – opowiadał Krystynie Kajdan. – Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, lecz przez wiele lat byłem „katolikiem, ale…". Szczęśliwie zostałem obdarzony jednym z darów Ducha Świętego, a mianowicie bojaźnią Bożą. Zawsze czułem, że Ktoś na mnie patrzy i bałem się tego Oka, natomiast moja wiara była bardziej kontemplacyjna. Słodycz płynącą ze wspólnoty i dyscypliny, jeśli chodzi o sakramenty, zawdzięczam właśnie żonie, która sama chodziła na niedzielne Msze św. i obserwowała ten mój „katolicyzm, ale…". Później uczestniczyliśmy już w nich razem i to było cudowne.

Najważniejsza jest miłość do żony

– Basia była szyją związku i umiejętnie potrafiła kręcić głową męża – uważa doktor Jacek Bera.

– Wojtek żył dzięki Basi – mówi Elżbieta Grocholska-Zanussi. – Na początku mieli trudne przejścia z powodu jego picia, ale ona odtworzyła w nim człowieka. Ze swoją łagodnością, wyrozumiałością była dla niego życiowym zabezpieczeniem. Kiedy został abstynentem, lubili siedzieć razem w domu, żeby, wychodząc na imprezy, gdzie lała się wódka, nie kusić licha. Z czasem było im tak ze sobą dobrze, że reszta świata mogłaby nie

istnieć.

– Zapamiętałam ich jako piękną, zakochaną parę, która na szarej ulicy Warszawskiej w Katowicach wyglądała nieziemsko – opowiada Anna Sekudewicz-Rączaszek. – To był początek lat sześćdziesiątych. Ona, wysoka, szczupła brunetka o zielonych oczach, w rockandrollowej spódnicy w kolorowe paski i modnym wtedy obcisłym sweterku, on wysoki, szczupły, elegancki. Do dziś widzę, jak idą ulicą Warszawską, trzymając się za ręce, jakby zjawili się tu z innego, lepszego świata.

Żona pana Wojciecha uczyła mojego brata Witka gry na fortepianie w Ognisku Muzycznym im. Siliwskiego. Ja chodziłam tam na zajęcia taneczne. Poznałam kompozytora już wcześniej, przez moją mamę Barbarę. W Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach była asystentką prof. Markiewiczówny, która uczyła też pana Wojciecha. Jako mała dziewczynka często spotykałam go na koncertach. Kiedy przyjeżdżał swoim renault, żeby po zajęciach odebrać żonę, mój brat biegł i przyklejał nos do szyby jego samochodu, który był wyjątkowy, bo zagraniczny. Wyglądali na bardzo dobre małżeństwo, a po latach, kiedy odwiedzałam ich przy okazji nagrań do swojej audycji, to się potwierdziło. Kiedyś zapytałam pana Wojciecha, co jest dla niego w życiu najważniejsze, uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem: „Pani myśli, że moja muzyka? Nie, najważniejsza jest miłość do żony”.

Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Barbara Gruszka-Zych

Wojciechowi Kilarowi (fragmenty)

„Życie jest bowiem czymś więcej niż pokarm, a ciało niż odzienie” św. Łukasz 23, 12

śmierć odjechany kawałek

nie do zagwizdania

to ona gwiżdże nam na nosie

teraz wynosi się nad życie

zamiast klucza do drzwi

czarny klucz wiolinowy

wynoście się krzyczy wszystko

co nas tu zatrzymuje

i wynoszą z nas jeszcze jeden ocalony dzień

zwykle w markowej koszuli Hugo Bossa

teraz w marki ziemia

na tej najniższej półce

czeka na nas czarna

zawsze gotowa do przebrania

teraz tylko zdjęcia rentgenowskie

i te z wakacji pamiętają ciało

niosą tę pamięć

na swoich zimnych plecach

jak trumnę

nie wiem gdzie jest ta głowa

na której żaden włos już nie liczony

włosy kto je głaska przed spaleniem

czerwone palce płomieni przeczesują ciało

w wielkim domu patrzył przez wideo-domofon na ulicę

teraz ulica patrzy że nie ma jednego pana

nie czuje jego zapachu nie słyszy skrzypienia butów

z nosem przy chodniku tropi jego ślady tak jak opuszczona

muzyka szuka swojego pana a tu pan u Pana

nie widziałam jaka muzyka za nim stoi

tak dobrze się chowała kiedy otwierał drzwi

schylał głowę nad moją białą dłonią

pomagał zawiesić płaszcz teraz zawiesili nekrolog

na wejściowej furtce schylam przed nim głowę

wcisnął się jak czarnoksiężnik do urny

dobry żart

jak można się tak skurczyć

z przystojnego mężczyzny w kilka garści prochu

trzeba wziąć się w garść myślą idący w kondukcie

wie pani wie pani

proszę pana nic nie wiem

o pana śmierci

nie znam jej nawet z rozmowy

dopuszcza do niej tylko jednego